

Nr. 21. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci,
Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. I. Listopada.

WYCIECZKA W TATRY.

(Ciąg dalszy).

ZAKOPANE.

Pośrodku prawie polskich Tatrów przeciągnęła się olbrzymia alpejska debra w kierunku białego Dunajca aż do źródeł jego; w debrze tej leżą kuźnie i zbliżając się od Poronina ku niej słychać już w wielkiem oddaleniu huk olbrzymich młotów urabiających żelazo. Przed tą debrą leży wieś Zakopana; otoż i ten zakład kuźniczy nosi jej nazwisko, lubo tylko ku-

żnie i mieszkania hutników i górników znajdują się po debrze rozrzucone — ale mieszkania samych górali nie dochodzą do regli, i tu poczyna się wstęp do tej debry od pionowych, wysokich, nagich skał, kiedy dalsze jej zbocza świerkowym lasem są okryte; w perspektywie tej debry ciągnącej się z pół mili aż do żródeł Dunajca w prostym kierunku z północy ku południowi, widać ostry grzbiet alpejski polskim Łęgiem zwany, który ją zamyka i trzema ostremi szczytami na niebie się odrzyna. Debra Zakopanego, lubo zamieszkała i znacznie już odmieniona a nawet przyozdobiona staraniem właścicieli zakładu, zachowała jeszcze cały dziki pierwotny pozór; cała dolina jest zasiana olbrzymiemi blokami granitów, tak wielkich rozmiarów jak nigdzie. Roślinność debry bardzo żywa, bardzo bujna, ale koloryt ponury, a szum wód co kilkanaście kroków wziętych na łotoki i poruszających młoty, jest tu, zdaje się, jeszcze większy niż w innych dolinach; ciasna debra od północy ku turniom przyparta, jest burzliwym wiatrom przystępna i kiedy koło Nowego Targu zielenić już się poczyna wiosna, jeżdżą w Zakopanej jeszcze saniami. Tu można się spotkać z nowem powołaniem górali, z górnikami z rzemiosła, którzy żelazną rudę kopią. Od wieków trudnią się te same rodziny górnictwem i zajmujące są legendy, które się z tem powołaniem wiążą. Życie pod ziemią to zupełnie obcy świat, wiara tedy tylko wspiera człowieka w tem trudnem powołaniu i pełno jest tu cudownych powieści o ratunku górników, którzy cudem prawie z kopalni wyprowadzeni zostali przez św. Kingę, ścigani przez wrogiego ducha Skarbnika, który pod ziemią panowanie trzyma i moc ma nad górnikiem szczególniej wówczas gdy się w kopalni zdrzemie.

Drugiem powołaniem jest hutnictwo i prześliczny to widok szczególniej nocą dają te kuźnie i postacie snujące się około ogniska, oświecone czerwono:

Noc jak wróg ciemna — tu takie mgły duże,
A w turniach wyje wiatr zdzika,
I górskie duchy błądzą po Magórze
I trwożą snami górnika:

Koło doliny podnoszą się skały,
Strome i czarne, milczące,
A nad skałami tumany się zlały
Niby sklepienie wiszące.

Nie widać nigdzie ni gwiazdy, ni zorzy,
Dołem Dunajec szaleje,
A po pieczarach coś zcicha się sroży,
I dreszczą śmierci coś wieje;
Dolina w nocy jak wnętrze pieczary,
W niej kuźnie ogniem ziejące,
Jak paszcze smoków zaklętych przez czary,
Wieczystych skarbów strzegące.

A w tych tu kuźniach dopiero roboty!
Tam się kowale rozjedli,
Ogniem i wodą, miechami i młoty
Na to żelazo nasiedli.
Niby kowadło, twarde ich igrzysko,
A żywot niby żelazo,
Ztąd to ponuro patrzą się w ognisko,
A na świat patrzą z urazą.

We dnie i w nocy nie staje robota,
Nie znają zimy, ni wiosny;
Tylko ten ogień, szum wody, huk młota
I jęk kowadła żałośny...
Uśmiech się nie zna z tą zieloną twarzą,
Tylko gdy głownia zbieleje
W ogniu, a oni żurawiem ją zważą,
Radość szatańska jaśnieje.

Lecz skoro stanie żelazu się zadość,
Chłodnie ich dusza zarazem;
I gasną oczy i stygnie ta radość,
Tępieją równo z żelazem...

W istocie jest w skali widoków tatrzańskich widok kuźni w Zakopanem jednym z najwybitniejszych tonów. Podróżni robią ztąd zazwyczaj wycieczki do Jaszczórówki, leżącej o pół mili od Zakopanego u stóp regli. Jestto bagno w kształcie krągłego jeziorka, z którego rumowiska skał sterczą, tak że po nich przejść można przez bagno, obrosłe dziko rzerzu-

chą i kępami jaskru. Osobliwością tego bagienka jest to że wody jego są ciepłe do dwudziestu stopni, źródło tedy które je tworzy, gdyby je oczyścić, byłoby cieplicą; dziś żyje na tem bagnie osada salamandrów, nigdzie indziej w Tatrach niewidzianych, tak zimą jak latem; są to jaszczurki pomarańczowo-czarno srokate, o bardzo dużych niekształtnych łbach i kiedy szybkość jaszczurki stała się prawie przysłowiem, jest czołganie się tych salamandrów bardzo powolne i niedołężne. Żyją one na poły w wodzie a na poły w rumowisku skał; chowając się zawsze starannie przed burzą po skałach lub w wodzie; ztąd są one dla górali najlepszą skazówką pogody; kiedy w górę idą, będzie pogoda, kiedy się spuszczają, będzie słota — a gdy żadnej salamandry nie widać na całem bagnie Jaszczurówki, wówczas niezawodna burza. Nie zaumierają one zupełnie i w czasie zimy, ale leżą w bagnie bez ruchu, a kto by chciał sprawdzić podanie o salamandrze czy w ogniu zgorzeje przekona się że jest śmiertelną jak wszelkie stworzenie.

Byłem raz w czasie zimy na tem oparzelisku; łokciowe śniegi okrywały ziemię, okiść była na lesie — grobowa cisza nieprzerwana żadnym głosem natury otaczała nas, a cała Jaszczurówka odrzynała się krągło od śniegów, świeżą zielonością porosła jak w lecie i od czasu do czasu wznosiły się lekkie pary z zielonego oparzeliska, a salamandra, którą dobyto z bagna, była prawdziwą ironją czegoś niby żyjącego w tem oparzelisku w obec skośniałej zimy, która je otaczała w okoł.

SZAJNE-KATARYNKA.

Obrazek dalszy.

Na szkiełku obraz szlachcica w misiurce i kolczej zbroi na srokatym koniu — koło niego dworska drużyna uzbrojona na koniach. Muzyka gra: „Pod miasteczkiem Beresteczkiem...“

A to jedzie Zaklika!
Srokocz pod nim bryka;

Pan Zaklika z Wojsławic
Bił Tatary do granic.

Świtem rzekł mu kmieć stary
Że kraj naszły Tatary,
Więc do boju się ładzi,
Dał poczesne czeladzi:
„Za Polską, za Matką
Stój ze mną czeladko!
Raźnego, a w taniec,
Bo w kopcach pohaniec."

I wyparł się w pole
Na koniu sokole.

Zanim sejm się zgromadził,
Nim król listy przesuszył,
Nim ksiądz kanclerz uradził
A pan hetman wyruszył,
To Zaklika się sprawił
I pobił bez rady!
I już ucztę wyprawił
Dla całej gromady,
I pił też z sąsiady.

Obrazek dalszy.

Kiliński na szkiełku z dobytym pałaszem, przed nim pierzchają Moskale na miodowej ulicy — za nim tłum uzbrojony.

A to jedzie pan
Szewc Kiliński Jan,
Co Moskali bił do szczętu,
I z zasługi a nie z łaski
Radny miejski — szewc Warszawski,
I pułkownik regimentu
Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Wieliczka.

Bogata jest ta ziemia która dostarcza człowiekowi wszystkiego na zaopatrzenie codziennych jego potrzeb — tak aby najmniej rzeczy musiał sprowadzać od obcych, lecz znachodząc jak najwięcej u siebie i innym jeszcze miał co udzielić krajom. Takiem to bogactwem słynęła ziemia nasza. Nie tylko wszakże odznaczała się ona urodzajnością gleby, i obfitością płodów które spławnemi rzekami wysyłali przodkowie nasi za morza, ale nadto, i w wnętrzu jej złożył Stwórca pokłady kruszców i minerałów, które czynią ją bogatszą od innych krain świata.

Nie tylko więc powierzchnia jej płynęła jak to mówią mlekiem i miodem, nie tylko zboża dostarczały nam pola a okrętowego budulcu lasy, zwierza futer i miodu litewskie puszcze a bydła podolskie i ukraińskie pasze, mieliśmy i własne żelazo na pług i oręż — W Podgórzu karpackiem rozścieliły się pokłady węgla — w Swoszowicach wydobywano siarkę — w Dębniku i Chęcinach w okolicy Krakowa łamano czerwony i czarny marmur. Piękne pomniki w katedrze krakowskiej na Wawelu z krajowego dębnickiego są kowane marmuru — a wspaniała kolumna Zygmunta III. w Warszawie, którą ku czci jego syn Władysław IV. wystawił, jest z jednej sztuki marmuru z tychże kopalń przywiezionego.

Mieliśmy też i kopalnie śrebra w Olkuszu, lecz z czasem zalała je woda, i dzisiaj już tylko ślad pozostał, gdzie były.

Najbogatsze wszakże ze wszystkich krajowych kopalni były sławne kopalnie soli w Bochni i Wieliczce — Szczególniej kopalnie wielickie ogromem swym i nieprzebraną pokładów solnych ilością należą do najsławniejszych w świecie i przechodzą inne tak krajowe jak i zagraniczne kopalnie— Są one większym skarbem naszego kraju, niżeli kopalnie złota w innych krajach, gdy bowiem złoto, nieużyteczne samo przez się, nabiera wartości dopiero przerobione na pieniądz, za który musi się kupować to co do wygody i utrzymania życia właściwie jest potrzebne, sól Wielicka od wieków była dobrodziej-

stwem miljonów ludności całego kraju, a nadto wywożona za granicę i sprzedawana obcym ogromne krajowi przynosiła dochody.

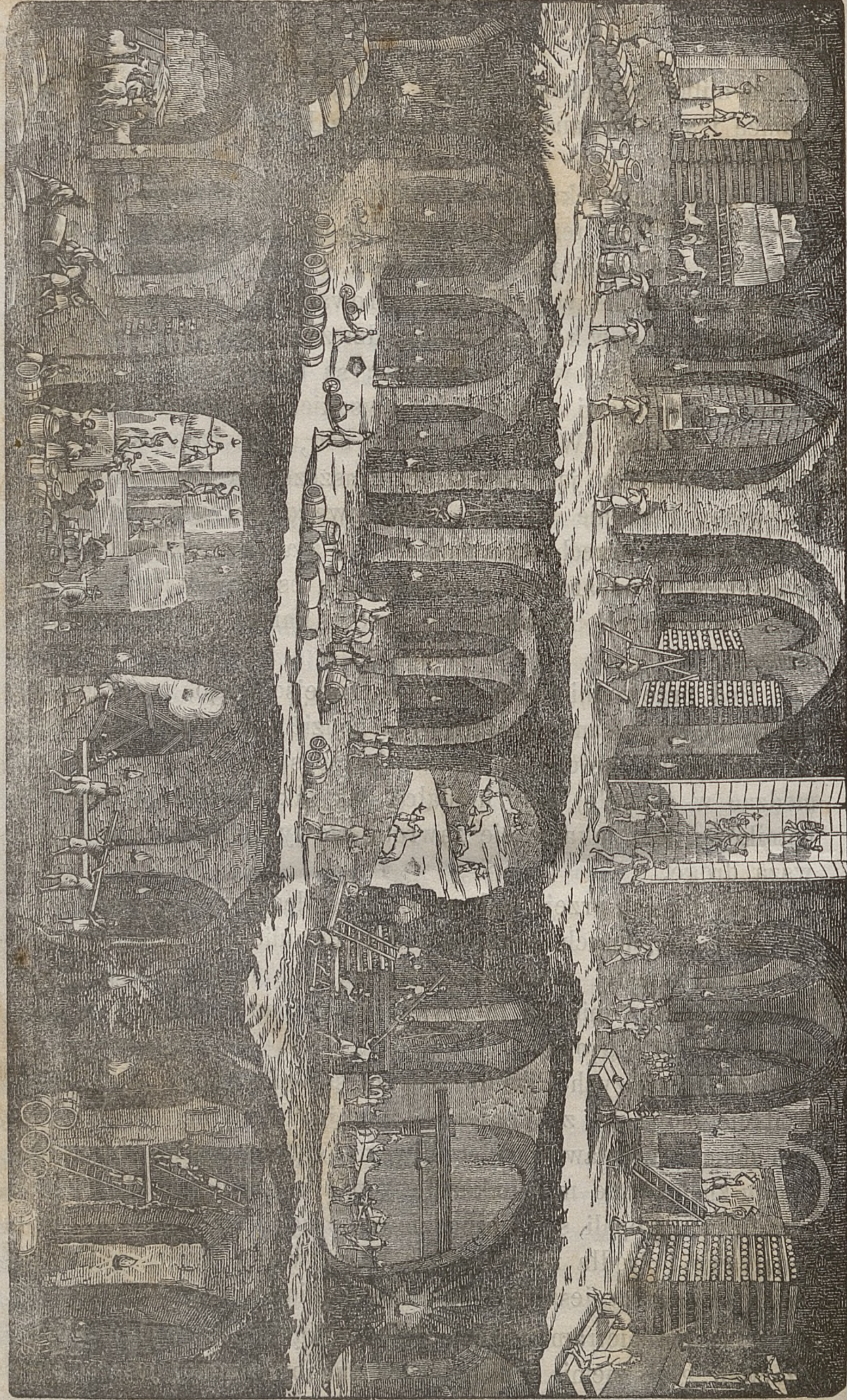
Jedną z najciekawszych rzeczy w kraju naszym są saliny wielickie. Lat temu kikanaście, jadąc do Krakowa, postanowiliśmy zwiedzić je. A było nas liczne grono. Po uzyskaniu pozwolenia w urzędzie, zaprowadzono nas do wielkiej sali, zastawionej w koło szafami z odzieżą, którą przybrać trzeba spuszczając się w te podziemia; są to fałdziste białe płaszcze z obszernemi rękawami i wysokie kołpaki na głowę, podobno zielone. Wilgotny wyziew soli, jak rosa osiada na odzieży i niweczy ją niezmiernie. Płaszcze owe i kołpaki chronią włosy i suknie od tego szkodliwego wpływu. Niektóre szafy oszklone przechowują pamiątkowe płaszcze zwiedzających kopalnie soli monarchów i znakomitych osób. Do jedwabnych tych i ozdobnych płaszczów przypięte kartki świadczą komu służyły.

Pod przewodnictwem urzędnika miejscowego, poprzedzeni smolnemi kagańcami, zaczęliśmy zchodzić pod ziemię tysiącznemi schodami; króciej by trwało kazać się spuścić na linwie, siedząc w okrągłej niby hojdałce, tak jak spuszczają tam robotników, lecz lękając się zawrotu głowy, obraliśmy uciążliwszą drogę.

Po długich przejściach wreszcie znaleźliśmy się wśród masy skał ogromnych, licznych i długich ulic, sal obszernych, jak rynki miast. Rozstawieni na skałach ludzie, bengalskie zapalili ognie i miejsca te dziwne i okropne zajaśniały w całej piękności i grozie

Za pierwszych Piastów jeszcze sól odkryto w Wieliczce. Podanie mówi że z Węgier do nas jadąca królewna Kinga, poślubiona Bolesławowi Wstydliwemu, ślubną zgubiła obrączkę, a gdy znaleźć nie mogli, kazała kopać w ziemi i z odzyskaną obrączką dokopali się niespodziewanie soli, tego skarbu prawdziwego i źródła niezmiernych bogactw dla kraju — Od owych to czasów jeszcze ciągle sól tu biorą.

Trzema piętrami ciągną się te ręką ludzką wybrane pieczary w głąb ziemi, a nie wyczerpano bynajmniej jeszcze po-



kładów solnych. Coraz dalej spuszczają się górnicy i coraz rozszerzają te podziemne przestwory. Załączona rycina da wam niejakie o tem wyobrażenie. Jedni oto robotnicy młotami wyłamują bryły solne — inni znów pakują je w beczki i wydodywają na wierzch — inni łupiąc sól pracują u ścian w górze na drabinach, niby zawieszeni w powietrzu w tych otchłaniach, indziej znowu wysadzają całe bryły minami z pro chu — Tysiące miga światełek w ciemnościach, gdzie przy kagańcach pracują robotnicy.

Podbierane ustawicznie skały potworzyły te pyszne sklepienia, te ogromne obszary, te dziwnie piętrzące się ściany. Dębowe równo układane kloce, podpierając sklepienia w różnych kierunkach, tworzą ściany długich ulic, w pośród których zbłądziłby każdy, nieświadomy dobrze miejscowości. Niepodobna wyobrazić sobie tego podziemnego miasta, tych niezmiernych otchłani, gdzie niegdzie oświeconych lampami, lub kagańcami otaczającemi robotników.

Huk młotów tysiączne powtarzają echa — a olbrzymie skały słabo oświecone, tem groźniej wysuwają się z ciemności. Czasem strzał z podsadzonej miny padnie nakształt piorunu a za nim głucho powali się skała. I do modlitwy w obec tego cudu natury jest pięknie obmyślane miejsce. Kapliczka w skale wykuta, ołtarz, wszystkie przybory i świętych posągi z soli. Dla robotników msza św. czasem się tu prawi.

Opodal stoi posąg św. Kingi, za której błogosławionem przybyciem odkryto sól w naszej ziemi.

Niezrównany widok przedstawia w pośród otchłani tych jezioro, duże, czyste jak łza. W koło na skałach rozstawieni z pochodniami ludzie oświecali i dziką piękność miejsc tych i ciche wody i ozdobny bat który ku nam podpłynął. Wsiedliśmy zachwyceni a z piersi wszystkich pieśń się podniosła, którą w podziemiach delekie powtarzały odgłosy.

Niechaj ciekawość waszą dzieci budzą najpierwej ojczystej ziemi piękności—wierzcie mi, z każdego względu nie ma czego zazdrościć cudzoziemcom.

O RYCERSKICH CZYNACH PUŁKOWNIKA
Morawskiego,
byłego czeladnika rzeźnickiego z Gniezna.

(Dokończenie.)

Raz to już omal że im się nie dostał w ręce, ale Pan Bóg go ratował i chował do ważniejszych czynów. Stanął on był popasem w Opactwie lędzkiem, w klasztorze który dokoła opasany był murem, mając tylko jedną bramę do wchodu i wychodu. Moskale dowiedziawszy się że Morawski tam przebywa, opasali klasztor dokoła wojskiem i całym tłumem pod dowództwem jenerała Apraxyna uderzyli w bramę. Brama nie wytrzymała natarcia i runęła wyparta z zawiasów, a Moskaliska sypali się jak mrowie na podwórzec klasztorny. Spostrzegł Morawski że nie przelewki, więc nie wiele myśląc siadł na koń i trzymając w jednej ręce szablę, w drugiej pistolet, rzucił się w największym pędzie w tłum Moskali siekąc na wszystkie strony. Taka szalona odwaga tak zdziwiła Moskali, że mimowoli rozstępywali się przed Morawskim. Tak więc wyrąbał się Morawski za bramę i dalej w las. Kilku kozaków opamiętało się i pogoniło za nim. Jeden strzelił i powalił konia pod Morawskim, który jednak zerwał się szybko z ziemi i uciekał dalej piechotą, kozak dopadł go, zerwał mu czapkę z głowy, zadrasnął lekko dzidą i już już miał mu zadać cios śmiertelny, gdy Morawski skoczył w szuwar nad jakiemś jeziorkiem i znikł. Kozacy wstrzymali się, końmi bowiem nie można się było puszczać w grząskie błota i rozmyślali co począć. W tem pada strzał z szuwaru i kula godzi w samo czoło owego kozaka, który miał już prawie na swej pice Morawskiego. Była to kula ze sztućca Morawskiego, którą posłał na pożegnanie goniącym go kozakom.

Apraxyn otrzymał od powracających z gonitwy trzech już tylko kozaków czapkę Morawskiego, ale samego nie zobaczył.

Morawski tymczasem dokazywał dalej, a nie ograniczał się już teraz na samo Poznańskie, ale jawił się często w Krakowskiem, a nawet w pobliżu Warszawy. Chodziły wieści

że ma zamiar uderzyć na stolicę, i może być że się tam snuły w głowie Morawskiego takie plany, ale nie przyszły do skutku, bo konfederaci ponieśli nowe klęski, zostali rozprószeni i nawet sam Malczewski musiał uchodzić za granicę. Morawski jednakże nie złożył broni, nie ustąpił z kraju, lecz swoim sposobem prowadził ciągłą partyzantkę. Moskale odchodzili od zmysłów ze złości, że tego zucha pojmać nie mogli.

Ale przyszła nareszcie kreska na Matyska. Pewnego razu gdy Morawski, albo Morawka jak go zwali Moskale, w kilka koni tylko ciągnąc ku Łęczycy stanął na nocleg w pewnej karczmie przydrożnej, obskoczyli go Moskale z nienacka, pojmali i związanego przywieźli do Poznania. Stał wówczas w Poznaniu załogą jenerał Renn, pół Niemca, pół Moskala, istne dzikie zwierzę. Ten nie posiadał się z radości że mu się taki ptaszek dostał w ręce i zaraz na wstępie kazał Morawskiemu wyliczyć sto batogów, a potem zamknął go w podziemnem więzieniu. Wszyscy już myśleli że Morawskiemu wybiła ostatnia godzina. Jednak Bóg łaskaw i tym razem nie dał mu jeszcze zginąć. Po kilku tygodniach, pomimo największej czujności, uszedł Morawski z więzienia i znowu przepadł bez wieści. Moskale szukali go po całej okolicy, po wsiach i miasteczkach, po lasach i polach, ale napróżno.

Dopiero gdy znowu lepsze czasy zabłysły dla konfederatów, gdy znowu uorganizowały się pułki konfederackie, wypłynął i Morawski na wierzch, ale już w randze pułkownika. Rozpoczął się na nowo taniec, a pułkownik Morawski był zawsze w pierwszej parze. Pod Poznaniem dostał strzał w nogę, pod Częstochową otrzymał ranę w twarz od piki kozackiej, a ile tam mniejszych cięć i zadraśnień uzbierał sobie na polu bitw tego i policzyć niepodobna. To jednak nie odstraszało go i jak tylko wylizał się z jednej rany, to szukał sobie zaraz drugiej. Narażał się na najoczywistsze niebezpieczeństwa, często samotrzeć uderzał na dwudziestu Moskali, a jakoś zawsze mu się powodziło. Ale kto czem wojuje, ten od tego zginie. Pułkownik Morawski wpadł po raz

wtóry w ręce wrogów i niestety nie potrafił się im więcej wymknąć.

Schwytano go i wywieziono na Sybir. Po drodze zmówił się był z więźniami, których z nim razem prowadzono i uderzyli wszyscy, na dany przez Morawskiego znak, na towarzyszący im oddział wojska. Bili się rozpaczliwie, na zabój, kilku z więźniów padło, inni wkrótce wysileni i poranieni zostali związani i odstawieni na miejsce swego smutnego przeznaczenia.

Lat wiele przesiedział Morawski na wygnaniu. W końcu przyszła mu amnestja, kiedy już rzecz była skończona, Polska rozebrana i podzielona pomiędzy trzy mocarstwa. Staruszek zbiedzony, znękany, powrócił do ojczyzny, żeby zapłakać nad jej grobem. Boleść, tęsknota, smutek przyspieszyły mu zgon; z ostatnią łzą wylaną nad losem nieszczęśliwej matki ojczyzny, której tak mężnie bronił niegdyś, uleciała dusza jego do Boga. Umarł w swych rodzinnych stronach. Niechaj mu świeci światłość wiekuista!

NASZE RZEKI.

II.

DNIEPR.

Największą, co do obfitości wód, rzeką polską jest Dniepr. U źródeł jego rozrosły się szeroko gęste lasy, łączące się z lasem wołchońskim i przypierające na zachodzie o puszcze litewskie. Jego piaszczyste, miejscami kamieniste koryto rznie się aż pod Mohilew przez pagórkowate, urodzajne ziemie, miejscami pokryte lasami, pełnemi barci pszczelnych i dzikiego zwierza. Wody płyną szybkim wartem, a pomimo że pomiędzy Smoleńskiem i Orszą przewalują się przez podwodne skały, tworząc wodospady, toć przecie na wiosnę, kiedy wzbiorą, poczyna się żegluga dnieprowa już od Drohobuża.

Spławiają ztąd maszty, kłody, łaty, krokwie, dziegieć, smołę, potaż; w ogóle, z wyjątkiem żelaza, same płody lasowe, których dostarczają bory, pokrywające ogromną przestrzeń kraju od puszcz litewskich przez Inflanty, Estonję, aż po odwieczne lasy nad górną Peczorą. Na tej przestrzeni zabiera Dniepr z lewej strony rzekę Wiaznę z prawej Wop.

Poniżej Mohilewa przechodzi czarnoziem coraz w grunta podmokłe, coraz też mniej tu ornej roli a więcej moczarów. Koło ujścia Prypeci legły już tylko grzęskie bagniska, to zarosłe olchowemi lasami i krzakami, to pokryte oczeretem, lub rozlewające się w błotne jeziorka. Dopiero od rzeki Teterów podnosi się kraj i pagórkami Wołynia wspina się na wyżynę, na której się rozesłały stepy i łany Ukrainy. Na tej przestrzeni odlewają doń swe wody najpotężniejsze dopływy: z prawej strony Berezyna, Prypeć, i Teterów, z lewej Sosz i Desna. Od Berezyny trwa już żegluga bez przerwy; nietylko wiosną ale i latem. Łoże Dniepru dochodzi tu 230 sążni szerokości, a szczególniej w czasie wezbrania około maja zalewają jego wody ogromne obszary ziemi.

Na milę za ujściem Desny rozsiadł się na skalistem wzgórzu stary Kijów i odtąd oba brzegi Dniepru wieńczą mniejsze i większe pagórki, na których zwyczajne rozłożyły się miasteczka i wioski, zabezpieczone wynioślejszem położeniem od wylewów. Miejscami zbiegają tu aż ku wodzie granitowe skały, miejscami rozsypały się po piaskach nadbrzeżnych drobniejsze złomy granitu, miejscami zaś umaiły brzegi czereszniowe gaje.

Poniżej Kijowa, pominąwszy ujście Rosi, wymuliła sobie rzeka na milę szerokie łożysko, ale wody jej nie zalewają je zawsze od brzegu do brzegu, tylko od głównego koryta wyginają się wężykiem pomniejsze odnogi, tak zwane girły, zostawując po środku ławy piasków, smugi lasów, masy oczeretów i mnóstwo drobnych jezior. Są to ługi dnieprowe.

Jeżeli komu nie spieszno z bajdakiem na targ do Oczakowa, żeby tam wymieniał płody swojej roli i swoich borów za sól akermańską lub produkta zamorskie, niechaj u ługów

zatrzyma się chwilę, dozwalając spocząć łodzi w sitowiu. Wartożby to zaglądnąć w ten świat cudowny, który wygląda jak by niedawno po stworzeniu i też istotnie co roku zupełnie się przetwarza, wynurzając się dopiero latem z głębi wód, żeby się ogrzać i osuszyć na słońcu. Od połowy kwietnia bowiem do połowy maja, kiedy na brzegu Dniepru już się zazielenią drzewa i sucha ziemia uśmiecha się kwiatem i młodym zasiewem ku słońcu, wzbierają wody Dniepru i zatapiają większą część ługów i wysepek. Tylko kitki trzciny i wierzchołki wierzb, poginające się za każdym pluśnięciem ciemnozielonej fali, wskazują wówczas miejsce zalanych ostrowów. Ale gdy skończy się wylew, skoro opadną wodą, okrywa ługi tem bujniejsza roślinność a w jej tajemniczym cieniu roją się ślady rozmaitego ptactwa wodnego, świszczą cyranki, uwijają się wrzaskliwe czajki, głosząc światu że już zniosły jaja, piszczą kuliki, ciągną górą kulony, nalatują z cicha rybitwy, zrywają się krzyki, i zwolna brodzą po bagnach czaple a lada szelest je spłoszy, chociaż już czapla

— dzisiaj bezpieczna w tym domu,
Nikt na królewskie piórka jej nie godzi,
Bo czaplej kitki nie ma nosić komu...

Nie łatwo jednak dobije się myśliwy do tej ptasiej stolicy. Przez główne rzeki koryto przemknie się lekko na lotnej czajce, ale dalej trzeba przejść nasyp piaszczysty, za którym nowa odnoga wodna, niby Dniepr drugi zamyka drogę. Tu już czajka nie pomoże, trzeba brnąć w wodę często wyżej kolan, idąc zygzakiem, żeby nie wpaść nogą w głębokie podwodne kotliny, które Dniepr stwarza co roku, żłobiąc sobie coraz to nowe koryto. Pośród rozlewu kołyszą się tam młyny zbudowane na łodziach, a dalej po za niemi ścielą się dopiero właściwe ługi, taśmy błot, dąbrów, brzezin i łóz. Nareszcie padnie strzał, chmury ptactwa wzbiją się nad oczerety i szulak, ów prawdziwy syn dnieprowej pustyni, wzbije się wysoko na swych szerokich skrzydłach i utonie w błękicie nieba.

Rzadko gdzie, tylko na miejscach wynioślejszych, spotkasz wśród ługów sadyby ludzkie, futory, pasieki, lub jaki samotny monasterek. Znajdują się bowiem i takie wysepki na Dnieprze, których nie zalewają wody nawet w czasie największego wezbrania. Są to najczęściej skaliste bezdrzewne ostrowy, których wybrzeża wzniosły się wyżej niż sięgają wylewy. Od ujscia Taśminy aż do Jekaterynosławia naliczyć można kilkadziesiąt mniejszych i większych wysepek i ostrowów.

Na przestrzeni od Kijowa do Ekaterynosławia wpadają do Dniepru z większych rzek od prawego brzegu Irpeń, Roś i Taśmina, od lewego Suła, Worskla, Orel i Samara. Na tej też przestrzeni przerwał Dniepr wyżynę czarnomorską i już na 1½ mili za Ekaterynosławiem spływa w stepy szumiąc po skałach podwodnych, owych sławnych porohach dnieprowych. Na lewem jego dorzeczu legły tu ogromne równiny, których rzeki płyną w wysokich brzegowiskach, ocienionych karłowatą dębiną a ziemie okrywają łany zbożowe lub łąki — na prawem pagórkowaty Wołyń i step Ukraiński.

Dzisiaj chyba ci tylko samotna mogiła przypomni że ten step naddnieprski to grunt nasz historyczny; że tu ciągnęła się od Rosi linja kresowa, że w fali dnieprowej przeglądało się dawniej mnóstwo twierdz i okopów a z nich grzmiał niegdyś codziennie o wschodzie słońca Hajnał krakowski,

..ten śpiew poranny
Polskich rycerzy do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i pobojowiskach
Od pokolenia starej Polski płynął,
I dopiero w dnieprowych urwiskach,
Na krańcach Polski w Ukrainie ginął!

że poniżej leżały Pałanki kozackie, Sicz i Zaporoże, graniczące na południe ze strasznym i pustym stepem Nogajców. Wszystko się zmieniło, tylko na porohach kipi Dniepr, tak samo jak kipiał przed wieki, ale szumi smutno, bo nie ma już dzisiaj śmiałków, coby na nim składali próby męstwa, żeby sobie zasłużyć na godność Zaporożca.

Poniżej Ekaterynosławia a na strzał działowy od Kozackiego Ostrowu poczynają się warstwy skał i mielizny, tworzące porohy dnieprowe. Przed porohami dochodzi woda wiosną do czternastu stóp głębokości, w lecie jest tylko na dwa i pół głęboką, w jesieni na cztery. Porohy same zajmują przestrzeń dziewięciu mil. Dzielą się one na dwa rodzaje: jedne gdzie skały, sterczące na znacznej pochyłości rzeki, nadają wodzie bieg wirowy i kręty; drugie, właściwie zwane porohami, tworzące wodospady. Jest takich zawad trzynaście. Pomiędzy porohami wznoszą się nadto jeszcze trzy wyspy.

Poniżej parohów rozlewa się Dniepr znowu szeroko, miałczejąc równocześnie podobnie jak Dniestr, a wart jego tak staje się wolnym że statki bez trudu przy słabym nawet wietrze z rozwiniętemi żaglami przeciw wodzie nawet płynąć mogą. Ależ podziękuj Bogu jeżeliś cały i suchy przepłynął bez szwanku porohy, nie każdemu bowiem uda się odbyć szczęśliwie niebezpieczną przez nie przeprawę. Zachowując największą ostrożność i tylko w czerwcu i lipcu, najprzyjaźniejszej dla żeglugi porze, przemykają się przez nie lekkie bajdaki. I najlepszy sternik kieruje tu tylko tak długo łodzią, dopokąd ją nie porwie silny prąd wody, wtedy bowiem nie przyda się już na nic wiosło, trzeba się spuścić na los szczęścia, ponieważ statek w mgnieniu oka przebiegnie spadek kilku set sążni, pędzony gwałtownym pędem wody. Dalej już bez przeszkody i niebezpieczeństwa unoszą spokojne fale spławy i tratwy ku morzu.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna **Aniela Zawadzka**. Drukiem K. Pillera 1862.